



*Veronica
Cassanteli*

Rezerwat wymartłych stworzeń



ZIELONA
SOWA

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

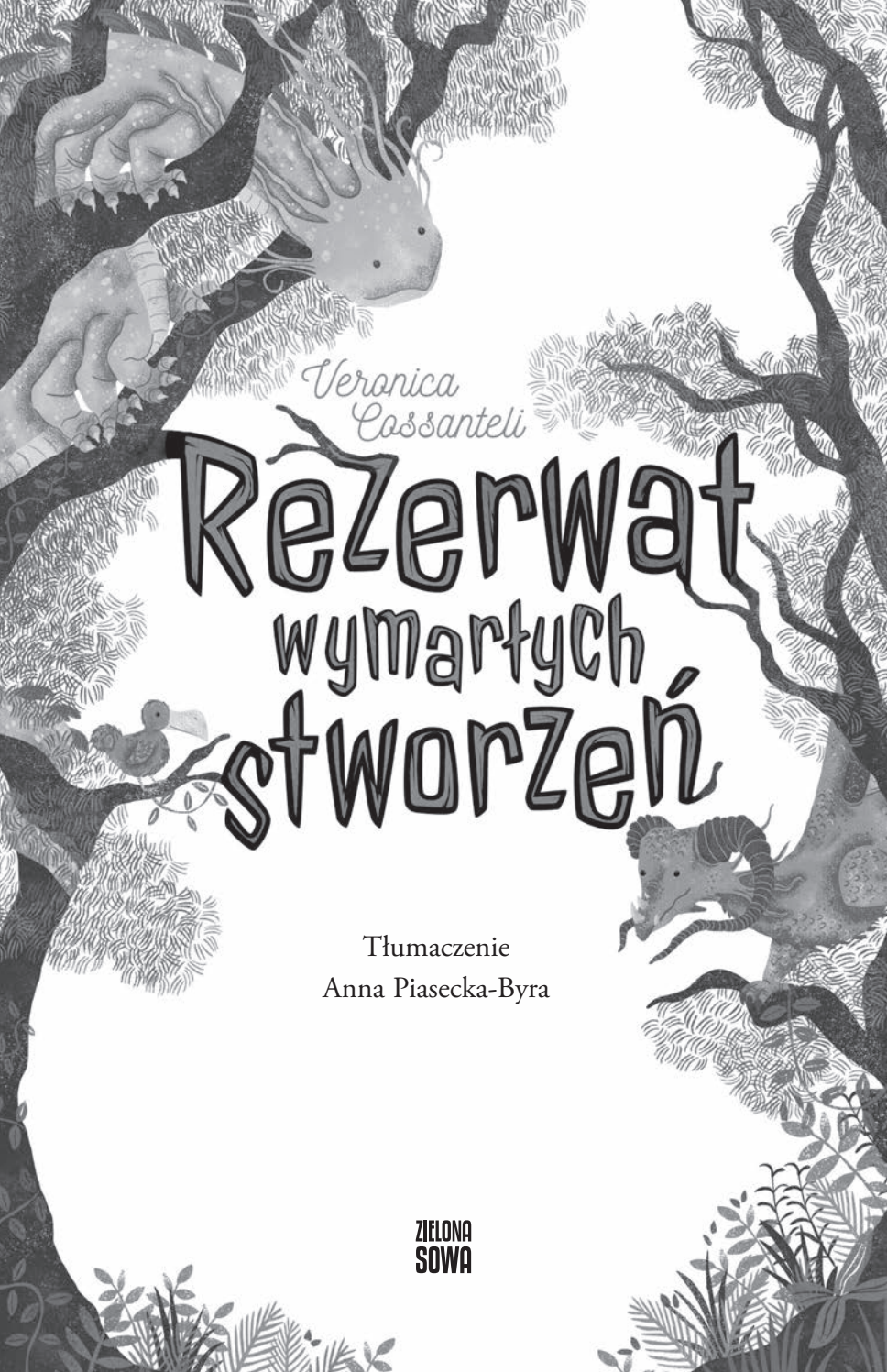
EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2013

www.zielonasowa.pl

Rezerwat wymarłych stworzeń





*Veronica
Cossanteli*

Rezerwat wymarłych stworzeń

Tłumaczenie
Anna Piasecka-Byra

ZIELONA
SOWA

Tytuł oryginału: *The Extincts*
Tłumaczenie: Anna Piasecka-Byra
Redaktor prowadzący: Anna Kubalska
Redakcja: Milena Schefs
Korekta: Beata Wójcik
Projekt okładki: Kamil Pruszyński
DTP: Katarzyna Piątek

Książka pod tytułem *The Extincts* została pierwszy raz wydana
w 2013 roku przez wydawnictwo The Chicken House,
2 Palmer Street, Frome, Somerset, BA11 1DS

Text copyright © VERONICA COSSANTELI 2013
Cover and inside pictures © 2018 RACHAEL SAUNDERS
Wszystkie postaci i ich imiona użyte w tej książce podlegają
ochronie (© VERONICA COSSANTELI) i nie mogą
być wykorzystane bez zgody autorki.
To wydanie zostało opublikowane zgodnie z umową
z Chicken House Publishing.

© Copyright for the Polish edition by
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Warszawa 2020

All rights reserved

Wydanie I

ISBN 978-83-8154-387-3

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94
tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51
wydawnictwo@zielonasowa.pl
www.zielonasowa.pl

*Pamięci mojego ojca, króla Jade'a Foresta,
który nauczył mnie, jak ważne są smoki.
Mojej matce, która nauczyła mnie wiele
innych wspaniałych rzeczy.
I Xanderowi, który nauczył mnie,
czego nie należy pisać.*



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cała ta dziwna historia zaczęła się od trzech funtów i siedemdziesięciu dwóch pensów.

Oczywiście nie wiedziałem, że to trzy funty i siedemdziesiąt dwa pensy, dopóki nie podniosłem z mokrego chodnika rozrzuconych monet i ich nie przeliczyłem.

George'u Drake'u, to twój szczęśliwy dzień! Najpierw razem z Joshem i Mattem trzy razy z rzędu zbiłeś wszystkie kręgle w Bumper Bown, a teraz jeszcze KASA ZA NIC!

Pozwoliłem monetom stoczyć się z dłoni do kieszeni i z powrotem wsiadłem na rower.

Co się robi, gdy się ma trzy funciaki i siedemdziesiąt dwa pensy? To proste; jeśli się jest kimś takim jak ja, kupuje się słodycze.

Spędziłem w sklepie mniej więcej minutę. Kiedy wyszedłem, roweru już nie było. Miałem papierową torebkę pełną żelkowych gąsienic, truskawkowych ciągutek i piankowych bananów, ale nie miałem roweru. Do tego padało, a do domu był kawał drogi piechotą.

Wiesz co, George'u Drake'u? To był taki żart. To jednak nie jest twój szczęśliwy dzień.

Świetnie. Po prostu świetnie. Odgryzłem głowę żelkowej gąsienicy i powlokłem się przed siebie.

Gdy wróciłem do domu, było mi niedobrze. Nie jestem pewien, czy lubię banany z pianki.

Mama ćwiczyła jogę w ogrodzie. Inni ludzie nie ćwiczą jogi w ogrodzie podczas deszczu, ale moja mama tak robi.

– Przyszedł rachunek za prąd – krzyknęła spomiędzy kolan. – Jeszcze wyższy niż ostatnio. Olbrzymi. Serio, George, jest GIGANTYCZNY!

Mama ćwiczy jogę tylko wtedy, gdy się czymś martwi. Rachunkami. Zepsutą zmywarką. Wywiadówkami. Odejdziem taty.

Wyprostowała się i stanęła na jednej nodze, zupełnie jak flaming. Z tym że flaming potrafi to zrobić, nie chwiejąc się przy tym.

Wtedy zauważyła.

– Gdzie twój rower?

Powiedziałem jej, co się stało, ale zaraz tego pożałowałem. Dobra matka zgodziłaby się ze mną, że wszyscy złodzieje rowerów powinni być pożerani przez żywiące się ludzkim mięsem karaluchy albo zanurzani głową w dół we wrzącym budyniu, albo wystrzeliwani w kosmos z olbrzymiej armaty. Ale nie, najwyraźniej wszystkim było m o j ą winą.

– Zostawiłeś rower przed sklepem i go nie przypiąłeś? George, to było głupie. Co sobie myślałeś?

Musiałem wysłuchać długiego rodzicielskiego bełkotu o tym, jak bardzo trzeba uważać i bla, bla, bla. Gadała tak i gadała, aż w końcu straciła równowagę i wpadła w krzaki róż.

Pomogłem jej się stamtąd wydostać. Cała była po drapana.

– Mówiłaś coś, że trzeba u w a ż a ć?

– Och. Tak. No... – Mama przytknęła krwawiący kciuk od ust. – Nie ma co tego roztrząsać. Takie rzeczy się zdarzają.

Pół godziny później grałem w *Wielką masakrę zombiaków*, żeby zająć głowę czymś innym niż utrata roweru. Już miałem wyłupić oczy zombiakowi, który wyglądał

jak moja nauczycielka, pani Thripps, kiedy zawołała mnie mama.

– George? George!

– Za chwilę. Poczekaj...

Za późno. Pani Thripps odgryzła mi rękę. Obrzucałem ją najgorszym wyzwiskiem, jakie przyszło mi do głowy, i nacisnąłem pauzę.

Mama stała przy drzwiach wychodzących na ogród.

– Patrz! – powiedziała dumnie. – Znalazłam go na samym końcu szopy. To doskonały rower. – Zmiotła pajęczynę z rdzewiejącej kierownicy. – Wszystko jest z nim w porządku.

Nie licząc koloru. Rower był różowy.

To typowe dla mamy. Słynie z tego, że o wszystkim zapomina, ale spodziewałem się, że będzie pamiętać chociaż tyle, że...

– Mamo, ja jestem chłopakiem.

– A tam! Brednie! – Mama machnęła ręką. – Prawdziwi mężczyźni nie boją się różowego.

Co mama wie o Prawdziwych Mężczyznach? Przecież wyszła za tatę.

Tata mieszkał z nami jeszcze rok temu. Codziennie chodził do biura w garniturze i krawacie. Teraz siedzi na plaży w Australii w klapkach i kwiecistych kąpielówkach. Wysłał do nas maila. Pisał, że pogoda w Australii

jest wspaniała i że uczy się surfować. Mama odpisała, że w Anglii pogoda jest beznadziejna, a ona ma nadzieję, że go pożre rekin.

Moi rodzice zachowują się bardzo dojrzałe jak na swój wiek.

To żart.

Spojrzałem na rower. Nie miał przerzutek. Ani amortyzatorów. Niczego nie miał, chyba że wziąłbym pod uwagę zardzewiały dzwoneczek z Księżniczką Pięknisią i mały wiklinowy koszyk. Próbowałem sobie wyobrazić, jak bym wyglądał, gdybym jechał tym czymś po mieście w niedzielne popołudnie. Już widziałem miny Josha i Matta...

– Nie! Mamo, nie, nie mogę!

Spojrzała na mnie tak, jakbym ją zranił. Zrobiło mi się przykro. Dlaczego dorośli nigdy nie dostrzegają takich rzeczy? Rzeczy, które są całkiem oczywiste. Czy jest jakaś część mózgu, która przestaje działać, gdy się kończy dwadzieścia jeden lat? To trochę straszne, bo znaaczy, że zostało mi tylko dziesięć lat bycia normalnym...

– Jeżeli chcesz nowy rower, to będziesz musiał na niego odkładać – powiedziała wkurzona. – Nie mam pojęcia, jak zapłacić rachunek za prąd.

Mama ma sklep, który nosi nazwę Jaskinia Syreny. Pali w nim kadzidło, zamiast muzyki puszcza śpiewy wielorybów i nigdy nie ma klientów. Myślę, że ludzie mają już

pełno pachnących świeczek, zasłon z koralików i wietrznych dzwonków.

– Możesz też trochę dorobić – zaproponowała i ton jej głosu stał się trochę mniej zręczliwy. – Możesz umyć samochód, dam ci za to pięćdziesiąt pensów.

– Mamo, my n i e m a m y samochodu.

Sprzedaliśmy go po tym, jak tata odszedł. Potrzebowaliśmy pieniędzy.

– Zapomniałam. – Mama przejechała dłonią po starym siodełku. Bardzo, bardzo nie chciałem, żeby zaczęła płakać. – Na pewno się nie nada? Nikt wcześniej nie narzekał. Ani Harry, ani Frank.

– Tak – przyznałem. – Ale Harry i Frank to dziewczyny.

Moje siostry są ode mnie starsze, ale jeszcze nie tak stare, żeby mieć przegniłe mózgi jak dorośli. Potrafią naprawdę wkurzać, ale obie rozumiały, dlaczego nie mógłbym jeździć na różowym rowerze z takim dzwonkiem.

– Zaczynj rozwozić gazety – zasugerowała Harry.

Spryskiwała się srebrnym lakierem przed imprezą z motywem przewodnim „kosmici i roboty”. Harry chodzi do college’u i na bardzo dziwne przyjęcia.

– Ja w twoim wieku rozwoziłam gazety. Potrzebowałam kasy. Mama nie rozumiała moich potrzeb w zakresie prostownic do włosów.

Harry ma mnóstwo włosów. Kiedy akurat nie są srebrne, wygląda jak Roszpunka albo inna księżniczka z bajek. Z tym, że na tyłku ma tatuaż z Super Mariem, a w języku kolczyk. Tego akurat brak większości księżniczek.

– Jeżeli obiecasz, że nie zrobisz nic głupiego, to będziesz mógł pracować dla mnie – powiedziała Frank.

Frank mniej przypomina księżniczkę, a bardziej sowę. Oszczędza, żeby pojechać na Antarktydę i opiekować się tam pingwinami. Na razie prowadzi swój własny biznes – wyprowadzanie psów.

– Mam masę powtórek i muszę skończyć projekt naukowy – ciągnęła. – Przyda mi się pomoc. Oczywiście będzie regulamin.

Regulamin, który Frank wydrukowała i kazała mi podpisać, głosił, że:

Ona dostaje połowę tego, co zarobię.

Mam chodzić do sklepu po czekoladę i (lub) chrupki serowo-cebulowe, kiedy tylko będzie chciała.

Raz w tygodniu mam sprzątać klatkę jej myszoscodka. Kiedyś myszoscodzek nazywał się Gerald. Potem poznałiśmy go bliżej i obecnie nazywa się Drakula. Ma bardzo ostre zęby. Nie lubi też, jak mu się sprząta klatkę. Ale potrzebowiałem kasy.

•

Szyld nad sklepem głosił: „Centrum handlowe Fillinga i Dentchera. Mamy wszystko, czego chcesz”. Wszyscy jednak nazywali to miejsce Słodkim Sklepem, bo były w nim wysokie szklane słoje pełne najróżniejszych słodczy, które ważono i sprzedawano w małych papierowych torebkach. Frank wysłała mnie tam akurat na misję serowo-cebulową. W oknie zobaczyłem kartkę. Pokryta była zielonym pismem pełnym zakrętasów. Wcisnięto ją między ogłoszenie zachęcające do kupna używanego tosterka („Prawie działa. Cena do negocjacji”) i zdjęcie grubego, pręgowanego kota o białych łapkach („Czy widziałeś Mruczka? Sto funtów nagrody dla znalazcy”):

Potrzebna pomoc

Wymagane zainteresowanie
dzikimi zwierzętami
Musi to być właściwa Osoba
Zainteresowanych proszę o kontakt
z panią Lind na farmie Wormestall

Nie dla łuskołobów

Patrzyłem na ogłoszenie tak długo, aż w końcu całe je zapamiętałem.

Musiałem czekać, żeby zapłacić za chrupki. Szalona Daisy kupowała losy na loterię. Daisy miała jasne, paciorkowate oczy, a spod wełnianej czapki z nausznikami wystawały włosy przypominające makaron ryżowy. Zawsze miała na sobie tę czapkę, nawet latem. Mieszkała w parku na ławce razem ze swoim małym psem, Zagładą, i ciągle krzyczała o zbliżającym się końcu świata. Ludzie czasami dawali jej drobne, a ona wszystkie pieniądze przeznaczala na losy. Sam nie wiem dlaczego. Co z tego, że można wygrać milion funtów, skoro świat zaraz ma się skończyć?

Daisy płaciła za trzy losy i kanapkę z jajkiem monetami jedno i dwupensowymi. Odliczała je jedna po drugiej. Zanosilo się na długie czekanie. Nie miałem nic lepszego do roboty, więc zacząłem czytać pierwszą stronę „Echa Squermington”.

„Miejski szalet zamknięty na czas zmiany wystroju”.

Co z tego?

„Konkurs na najwspanialszy ogród”.

Nuda.

„Zaginęły zwierzęta domowe! Czy grasuje gang porwaczy zwierząt? Policja prosi właścicieli zwierzątek o zachowanie czujności”.

Cieszyłbym się, gdyby ten gang zrobił skok na myszokoczka Drakulę, tego małego, gryzącego kołtuna. Im szybciej, tym lepiej.

„Widziano gigantycznego gada! Czy to powrót żmija ze Squermington? Ciąg dalszy na trzeciej stronie...”

To mi się spodobało. Otworzyłem gazetę na trzeciej stronie.

Pani Holly Sparrow i jej przyjaciółka Ruby Jenkins twierdzą, że gdy w piątkowy wieczór wracały z kina, widziały w okolicy miejskiej biblioteki ogon bardzo dużego zwierzęcia przypominającego węża.

- Widziałyśmy tylko ogon - powiedziała Holly - ale był ogromny. Niesamowity. Ruby tak się przestraszyła, że prawie się posikała. Potem zwierzę popęzło za smażalnię ryb, a my uciekłyśmy.

Zaginięcie dużego zwierzęcia nie zostało ostatnio zgłoszone przez żaden z ogrodów zoologicznych, sklepów ze zwierzętami ani przez władze rezerwatów przyrody.

Czy to tajemnicze zwierzę może mieć coś wspólnego z legendarnym żmijem ze Squermington, groźnym potworem ludojadem, który przed tysiącem lat terroryzował miejscową ludność?

– Kupujesz tę gazetę czy nie?

Pani Filling gapiła się na mnie zza lady. Odłożyłem gazetę na półkę i zapłaciłem za chrupki Frank. Gdy wychodziłem na chodnik, ostatni raz rzuciłem okiem na ogłoszenie o pracę i zmarszczyłem brwi. Byłem pewien, że napisano je zielonym atramentem. Być może to było złudzenie optyczne. Albo to, albo zaczynało mi odbijać, bo teraz te zakręcone, pajęczne litery z całą pewnością były fioletowe.

– Będzie ogień i siarka, i plaga żab, wszystkich nas czeka zagłada – odezwał się za mną zachrypnięty głos, a następnie poczułem ostry zapach jajek na twardo.

To Daisy karmiła Zagładę kawałkiem kanapki.

– Zobaczycie. To już koniec.

Daisy się myliła. To był dopiero początek.

– Co to jest łuskofob? – zapytałem przy kolacji.

Znowu jedliśmy potrawę znaną jako „brokułowe resztki i coś z pieczonej fasoli”. Po odejściu taty mama stała się roślinożercą. Morduje bezbronne warzywka i każe nam je jeść.

Nikt nie wiedział, czym jest łuskofob.

– A gdzie jest farma Wormestall?

– To kompletne odludzie – powiedziała mama. – Po drugiej stronie lasu Wyvern Chase. Czemu pytasz?

Opowiedziałem jej o ogłoszeniu z witryny Słodkiego Sklepu. „Potrzebna pomoc. Musi to być Właściwa Osoba”.

– Nie będziesz szedł sam taki kawał drogi przez las – powiedziała mama. – Któraś z siostr z tobą pójdzie.

– Impreza – powiedziała Harry z pełnymi ustami. – Bal przebierańców. Mam zamiar wystąpić jako tarantula. Muszę zrobić masę nóg i nie mogę się rozpraszać.

– Ja mam pracę domową – odparła Frank. – A poza tym w ten weekend pracujesz dla mnie, pamiętasz? – Ukłuła mnie widelcem. – Trzeba będzie wyprowadzić na spacer Sir Crispina, a na poniedziałek muszę napisać esej na historię.

– Tylko nie Sir Crispin! – skrzywiłem się.

Sir Crispin to mops pani Poker-Peagrim. Pani Poker-Peagrim mieszka na końcu naszej ulicy. Ma włosy jak druty, kwadratową twarz i pachnie pastylkami na kaszel. Crispin jest taki gruby, że sierść nie może mu całkowicie zakryć brzucha, i cały czas chrapie – nawet kiedy nie śpi. Oczy ma wytrzeszczone jak u nadeptanej żaby. Gdybym miał wybierać psa dla siebie, nie byłby to Sir Crispin.

Raz prawie dostałem psa. Zanim wszystko zaczęło się psuć i tata odszedł, powiedział mi, że na jedenaste urodziny dostanę własne zwierzątko. Frank miała Drakulę,

a oprócz tego wielkiego afrykańskiego ślimaka i patyczaki w słoiku. Harry miała kiedyś papużki faliste, a potem już tylko chłopaków.

– Jakie tylko sobie zażyczysz – powiedział tata. – Co byś chciał?

Odpowiedziałem, że orkę.

Chciałem ją mieć, odkąd podczas wakacji tata zabrał nas do delfnarium. Mama i dziewczyny rozplęwały się nad delfinami, ale mnie podobały się orki.

Jednak w bliźniaku nie da się trzymać orki.

Mama i tata kłócili się o różne rzeczy, ale o to nie.

– A co powiesz na szczeniaczka? – zasugerował tata.

Zgodziłem się. Kto by się nie zgodził? Ale w końcu nic z tego nie wyszło.

Kłótnie robiły się coraz głośniejsze, a potem już taty nie było. Na urodziny dostałem korki i nowy piórnik do szkoły.

– A nie mogę zamiast niego wyprowadzić Tysona? – błagałem Frank.

Tyson to rottweiler. Żaden pies bardziej nie przypomina orki.

– Nie wygłupiaj się – powiedziała Frank. – Jesteś za mały. I nie ma sensu, żebyś szedł na tę całą farmę. Raczej nie uznają cię za Właściwą Osobę. Taki zasmarkany dzieciak?

– Sama jesteś zasmarkana. A, i jeszcze coś – powiedziałem szybko, zanim zdążyła mi się odgryźć. – Co to jest żmij ze Squermington?

– Co? – zaśmiała się mama. – Ta stara bajka? Dawno temu, w średniowieczu, w lesie Wyvern Chase mieszkał smok czy coś podobnego. Zjadał wszystkie krowy, owce i córki wieśniaków, aż ludzie się wkurzyli. Pewnej nocy zebrali się i wyruszyli z widłami, siekierami i pochodniami, żeby go odnaleźć.

– I co się stało? Zabili go?

– Nie mam pojęcia. Pewnie pojawił się jakiś dzielny rycerz na białym koniu i zrobił to za nich. Tak to zwykle bywa, prawda? Tak jak w legendzie o świętym Jerzym*.

– Tak – rzuciła Frank. – Założę się, że święty Jerzy nie był zasmarkany.

– Powiem ci coś – odezwała się mama, patrząc twarzą na mój talerz. – Założę się, że on zawsze zjadał swoją porcję brokułów.

* Święty Jerzy to po angielsku Saint George.



ROZDZIAŁ DRUGI

Mama nie pozwoliła mi iść na farmę Wormestall samemu, więc wziąłem kogoś ze sobą.

Był to Sir Crispin.

Kiedy po niego przyszedłem, pani Poker-Peagrim nie było na miejscu. Właśnie spawała czy tam prostowała włosy, ale Frank powiedziała mi, gdzie znajdę klucz. Sir Crispin nie był mną zachwycony. Nałożyłem na niego płaszczyk w szkocką kratę i zachęciłem, żeby wyszedł za drzwi. Gdy doszliśmy do stojącej na rogu skrzynki na listy, był już gotowy, żeby zrobić w tył zwrot i wracać do domu. Od tego miejsca spacer bardziej przypominał ciągnięcie niż wyprowadzanie psa.

Zanim dotarliśmy do lasu Wyvern Chase, poddałem się i wziąłem go na ręce.

Zatrzymałem się przy bramie wiodącej do lasu. Pomyślałem o tych wszystkich wściekłych wieśniakach. Czy to właśnie tą ścieżką maszerowali, trzymając widły i płonące pochodnie? Czy żmij naprawdę miał swoje legowisko tu, w tym lesie? A te dwie dziewczyny? Czym było to, co naprawdę widziały: ten pełzający w mroku ogon za smażalnią ryb? Dostałem gęsiej skórki. Zwykle mi się to zdarza, gdy oglądam coś strasznego w telewizji. Może i noszę to samo imię co słynny pogromca smoków, ale szczerze mówiąc, żaden ze mnie bohater. Może to rzeczywiście zależy od tego, ile się zjada brokułów?

Sir Crispin zaskomlał i zaczął się wiercić w moich ramionach.

– Masz rację – powiedziałem do niego. – Nie możemy tu stać przez cały dzień. Musimy dostać się do tego całego Wormestall. I to zanim pojawi się ktoś inny, kto będzie udawał, że to on jest Właściwą Osobą. Ale nią nie jest. To ja nią jestem.

Dlaczego byłem tego taki pewien? Nie wiem. Po prostu byłem.

Wepchnąłem Sir Crispina pod pachę i otworzyłem szeroko bramę.

Las był pełen promieni słońca, wiewiórek i świergotu ptaków.

Nic, czego można się przestraszyć.

Aż nagle tuż przede mną coś wyskoczyło z krzaków. Okazało się, że to tylko ptak. Całkiem spory, wielkości kurczaka. Miał czarne i białe pióra, długą szyję i ogon. Przez chwilę gapił się na mnie swoimi okrągłymi, złotymi oczami. Otworzył dziób, rozpostarł skrzydła i pomknął ścieżką. Biegł na swoich kościstych nóżkach coraz szybciej i szybciej, aż w końcu wzbił się w powietrze. Nie wyglądało to przekonująco. Usłyszałem, jak z trzaskiem przebijał się przez gałęzie.

Kiedy byłem mały, bałem się ciemności. Tata mówił, że mam zbyt bujną wyobraźnię. Zbyt bujna wyobraźnia sprawia, że widzi się rzeczy, których naprawdę nie ma. Rzeczy, które nie istnieją. Takie jak ptak z dziobem pełnym zębów. Ptaki przecież nie mają zębów...

Po tym zdarzeniu zacząłem iść szybciej; zerkąłem przez ramię przy każdym odgłosie łamanych gałązek lub szumie liści. Właśnie dlatego wałęnałem się w paluch u nogi.

– Auu, auu, ała!

Na środku ścieżki leżał kamień.

– Głupi kamień!

Usiadłem na pniu i złapałem się za stopę. Sir Crispin polizał mnie po twarzy. Z pyska ciekła mu ślina i cuchnęło rybą.

– Głupie miejsce, żeby postawić taki głupi kamień!

Spojrzałem na niego, a on patrzył na mnie swoimi pustymi oczami. To wcale nie był zwykły kamień. To była rzeźba przedstawiająca królika. Była naprawdę dobra, ale bolał mnie palec i nie miałem ochoty podziwiać sztuki. W końcu kto stawia rzeźbę ogrodową pośrodku lasu?

Wstałem. Trochę podskakiwałem, aż ból stał się znośny.

– No dalej – powiedziałem do Sir Crispina. – Dasz radę przejść ten kawałek o własnych siłach. To już niedaleko.

I rzeczywiście było niedaleko. Szybko wyszliśmy z cienia drzew na wąską dróżkę. Znajdowaliśmy się daleko od miasta. Nie było widać żadnych domów ani samochodów, tylko wysokie skarpy porośnięte dzikimi kwiatami. Trochę dalej dróżka rozwidlała się i jedna odnoga skręcała w prawo. Sir Crispin podniósł nogę nad rozklekotanym znakiem. Nierówno napisane litery, ociekające psimi sikami, układały się w napis:

FARMA WORMESTALL
TEREN PRYWATNY
NIE WCHODZIĆ

Po drugiej stronie ścieżki był kolejny znak:

Uwaga na

Uwaga na... co? Nie wiadomo. Końcówka znaku się odłamała.

Gdy skręciliśmy na tę drogę, Sir Crispin zaczął szcze-kać w kierunku pola pełnego wielkich, włochatych krów z niebezpiecznie wygiętymi rogami i z rudymi grzywami. Krowy przestały przeżuwać i popatrzyły na nas, wydmuchując głośno powietrze przez nos.

– Na twoim miejscu bym się zamknął – powiedziałem do Sir Crispina. – Jestem prawie pewny, że tamta pośrodku, ta superwielka, to byk.

Po drugiej stronie pał się tylko jeden koń. Głowę wetknął w żywopłot na przeciwnym krańcu pola. Odganiał ogonem muchy i zajadał jeżyny. Na końcu drogi stał stary dom. Od frontu wyglądał na opuszczony. Okna były puste, a na progu rosły muchomory. Zapukałem, ale nikt nie odpowiedział. Drzwi wyglądały tak, jakby nikt od lat ich nie otwierał. Kusiło mnie, żeby zrobić w tył zwrot

i wrócić do domu, ale razem z Sir Crispinem przeszliśmy kawał drogi. Ogłoszenie ze Słodkiego Sklepu kazało mi tu przyjść i oto jestem. Tak łatwo się nie poddaję.

Zaprowadziłem Sir Crispina na tyły domu, na wybrukowany stajenny dziedziniec. Dom z tej strony wyglądał dużo przytulniej. Białe gołębie siedziały na gałęziach starego, poskręcane drzewa i gruchały, a z wiszących pod oknami doniczek wylewały się kwiaty. Na ganku stały buty nie do pary i rząd gaśnic. Ze stajni dobiegał dźwięk włączonego telewizora.

– ...ubijaj białka, aż zrobi się piana...

Ktoś oglądał program kulinarny.

Zamiast dzwonka do drzwi było tu staroświeckie, mosiężne coś z kołatką. Wziąłem głęboki oddech i zastukałem. Starąłem się przy tym wyglądać jak Właściwa Osoba.

Drzwi otworzyły się na oścież.

– Nie mogę teraz gadać. Gotuję masę depetryfikującą – powiedziała starsza pani stojąca w korytarzu.

Przyglądała mi się przez okulary w złotych oprawkach. Miała na sobie kalosze, sznury koralu i olbrzymi kapelusz, ozdobiony nadgryzionymi owocami. Korytarz za nią wypełniony był bladozieloną mgłą.

– Dzień dobry. Przyszedłem w sprawie... – zakaszlałem.

Mgła do mnie dotarła i oczy zaszczyliły mi łzami.

– Trochę za mocne, co? Nie jestem pewna, czy to ma tak pachnieć – powiedziała z powątpiewaniem starsza pani. – Ale wszystko robiłam według przepisu. Co myślisz?

Myślałem, że mgła pachnie jak kuweta Kota Sąsiadów, ale nie chciałem być niegrzeczny, więc trzymałem się tego, co przećwiczyłem.

– Przyszedłem w sprawie...

– Aha! Tu jesteś! – powiedziała starsza pani, gdy włochate, szarobrazowe coś przebiegło nam pomiędzy nogami i wyleciało z domu. – Złap to – zwróciła się do mnie – i robota jest twoja.

– Ale jak....? – zacząłem, ale było już za późno.

Starsza pani ruszyła w głąb korytarza, zamykając za sobą drzwi z głośnym trzaskiem.

Sir Crispin warczał i szczekał.

– Ciiii! Nie pomagasz!

Zaczepiłem smycz o jedną z gaśnic, żeby nie wchodził mi w drogę.

– Muszę pomyśleć.

Włochate Coś było rozmiarów świnki morskiej, tylko dłuższe i smuklejsze. Miało też bardziej spiczasty nos i ogon. Wcisnęło się w szczelinę między murem domu

a kamiennym korytem obsadzonym kwiatami. Klęknąłem. Moja dłoń ledwo mieściła się w szczelinie.

– Auu!

Wyjąłem ją bardzo szybko. Obtarłem kłykcie o mur, ale większość krwi (a było jej całkiem sporo) lała się z mojego palca. Włochate Coś miało zęby.

Wsadziłem palec do ust i postanowiłem, że zajdę stwora od tyłu. Miałem szczęście. W ucieczce przed moją ręką cofnął się tak bardzo, że końcówka jego ogona wystawała z drugiej strony.

Złapałem ogon i pociągnąłem.

Pociągnąłem znowu.

Ogon nagle zeszytywniał w mojej dłoni. Włochate Coś skierowało na mnie swój tyłek i... PSSSSSSSS!

To był najgorszy smród na świecie. Milion razy gorszy niż zielona mgła starszej pani. Rzygi i psia kupa, i zapocone pachy, i stare skarpetki, i zapach tego, co gotuje mama... wszystko to razem. I miałem to w oczach, włosach, ściekało mi po nosie...

– To nie fair! – parsknąłem. – To oszustwo!

Usiadłem na bruku poza zasięgiem Strzelającego Tyłka i zacząłem myśleć. Skoro nie mogłem z m u s i ć tego śmierdzącego, gryzącego czegoś, żeby wyszło, to musiałem je p r z e k o n a ć, żeby to zrobiło. Tylko jak?